

## **PAŃSTWOWY OŚRODEK MASZYNOWY (POM) – WSPOMNIENIA Z DZIECIŃSTWA**

Tadeusz Juliszewski

Instytut Eksploatacji Maszyn Ergonomii i Procesów Produkcyjnych  
Uniwersytet Rolniczy w Krakowie

Zachęcając Prezesa Klubu Seniora Mechanizacji Rolnictwa, p. profesora Rudolfa Michałka, do podjęcia się redakcji monografii o POM-ach (wcześniejsza nazwa brzmiała chyba GOM – Gminny Ośrodek Maszynowy) i napisania wspomnień o nich miałem zamiar przypomnieć i utrwalić w pamięci ten fragment mechanizacji rolnictwa, który odszedł do historii - na naszych oczach.

Nie znam książkowego opracowania, jakie utrwaliłoby w pamięci te zakłady, tj. POM-y, mimo że nasz uniwersytet (wcześniej Wyższa Szkoła Rolnicza, a następnie Akademia Rolnicza) współpracowała z nimi badawczo i dydaktycznie (praktyki studenckie, staże pracowników). Skoro więc z generacji pracowników POM-ów nikt, jak do tej pory, nie napisał wspomnień o nich próbujemy utrwalić ich historię przynajmniej w takim zakresie na ile ją znamy i zachowana jest w naszej pamięci.

Moje wspomnienia dotyczą Państwowego Ośrodka Maszynowego w Brzączowicach k. Dobczyc, gdzie mój ojciec pełnił obowiązki dyrektora, od 1953 roku aż do niespodziewanej śmierci w 1970 roku. Wcześniej był dyrektorem POM-u w Szreniawie (1951-1953), przeniesionego później do Opatkowic. Tuż obok POM-u w Brzączowicach, może nie więcej niż 50 metrów od ogrodzenia zakładu, mieszkała nasza rodzina w dwurodzinnym budynku, który stoi jeszcze dzisiaj. Moje wspomnienia obejmują okres od chwili najwcześniej zapisanych w pamięci 4-5 letniego chłopca, aż do 1965 roku, kiedy przenieśliśmy się do Myślenic, gdzie rodzice wybudowali nasz dom rodzinny. Miałem wówczas 14 lat i właśnie ukończyłem szkołę podstawową – wówczas jeszcze 7-letnią. Wspomnienia moje obejmują zatem okres ok. 12 lat.

O tym, że POM w Brzączowicach jest jednym z wielu w bliższej i dalszej okolicy wiedziałem – mogę tak powiedzieć – zawsze. Pamiętam bowiem, jak ojciec, wraz z współpracownikami, wyjeżdżał służbowo do innych POM-ów. Zdaje się, że niekiedy byłem też przez niego zabierany do służbowej „Skody”, a później „Warszawy” – pamiętam to słabo i nie potrafię odtworzyć z własnej pamięci, jakie to były POM-y. Z przekazu mojej matki wiem dzisiaj, że były to jeszcze POM-y w Jawiszowicach, Kacicach (dyrektor Stanisław Rubiś), Kleczy Dolnej, Kopalinach, Kryspinowie (dyrektor Handzlik), Limanowej (dyrektor Bogacz), Lubaszu, Tarnowcu, Trzyciążu i Podegrodziu. Być może przyczyną moich „służbowych” wyjazdów była nie tyle chęć pokazania mi innego zakładu, lecz kontrola nad niesfornym chłopcem, który nie chodził do przedszkola ... . Wiem, że ojciec był także odwiedzany przez dyrektorów innych POM-ów – niestety ich nazwisk nie zapamiętałem, choć wiem, że bywali także w naszym służbowym mieszkaniu. Tak więc wiedziałem już wówczas, że „nasz” POM nie jest jedynym i podobno są jeszcze inne, gdzieś w zasięgu służbowego samochodu ojca, a także gdzieś dalej.

Jak wyglądała sieć tych POM-ów w regionie warto by opisać dla upamiętnienia tego fragmentu historii inżynierii rolniczej w Polsce. Nie zrobią tego już Dyrektorzy „Zjednoczenia” POM (siedziba tego Zjednoczenia mieściła się przy Placu Szczepańskim): pp. Warkowski i Andrzej Starowieyski, gdyż odeszli na zawsze...

Charakterystyczne dwa, „pomowskie”<sup>\*\*</sup> dźwięki pamiętam do dziś: syrenę, wzywającą rano (chyba o 6:30) pracowników do zakładu i ogłaszającą koniec pracy (godz. 15.00 od poniedziałku do piątku i o 13.00 w soboty), oraz hałas uruchamianych silników ciągników Ursus C45.



Jak wiadomo silniki te (jednocylindrowe, z tłokiem pracującym poziomo, wzdłuż osi podłużnej ciągnika) uruchamiano przy pomocy kierownicy (demonstrowanej ze stanowiska pracy), podgrzewając wcześniej świecę żarową umieszczoną z przodu ciągnika. Wibrujący dźwięk syreny i charakterystyczny hałas – niczym kolejne, coraz szybsze wybuchy – pamiętam zapewne nie tylko ja, ale wszyscy mieszkający wówczas w promieniu co najmniej jednego kilometra. Jeśli dodam, że POM w Bręczowicach zlokalizowany był na wzgórzu – z jednej strony od południa podnóżem była dolina rzeki Raby, a od północy dolina potoku zwanego Walnica - to szczególne środowisko akustyczne tego miejsca będzie bardziej zrozumiałe. Dziś wzgórze oblane jest z trzech stron wodami zbiornika wody pitnej dla Krakowa i innych miejscowości – spiętrzonej zaporą w Dobczycach.

Sam POM zlokalizowany był w budynkach jakby podworskich. Nie znam historii przejmowania tych budynków i terenu od przedwojennych właścicieli – chociaż warto byłoby ją poznać. Nie jest wykluczone, że przejęcie (nacjonalizacja) odbywało się z krzywdą i niesprawiedliwością, o której dopiero od niedawna wolno głośno mówić i bliżej ją poznawać. Nie pamiętam żadnych rozmów, które wówczas dotyczyły tej sprawy, tj. nacjonalizacji terenów i budynków. Wiedziałem tylko, że niektórzy pracownicy, np. woźacy<sup>\*\*</sup>, wcześniej pracowali w tym miejscu – choć nie w POM-ie, bo przecież przed wojną go nie było.

\* Wyraz: „pomowskie” (tzn. i wszystkie budynki i ciągniki należące do POM-u), „pomowcy” (ludzie pracujący w POM-ie) były w powszechnym zastosowaniu i jednoznacznie zrozumiałe dla ludzi także spoza branży „pomowskiej”.

\*\* W POM-ie prowadzono początkowo także, chów zwierząt. Były konie pociągowe i trzoda chlewna. Najpierw zniknęły z POM-u konie, później – chyba w połowie lat 60-tych zaprzestano chowu trzody chlewnej.

Pamiętam także, że magazyn części zamiennych nazywany był spichlerzem (bo taką funkcję wcześniej spełniał), a magazyn paliw i olejów wcześniej był magazynem lodu (wydobywanego z pobliskiego stawu i gromadzonego podczas zimy). W najbardziej okazałym 1-piętrowym dworku mieściły się biura, a w przyziemiu stołówka pracownicza. Mieściła się tu też centrala telefoniczna, na korbkę, gdzie telefonistka wciskając wtyczki do tajemniczej (wtedy dla mnie) skrzynki łączyła rozmówców.

Na południowym stoku „pomowskiego” wzgórza był sad wiśniowy (nazywany „winnicą” – dlaczego, nie wiem do dziś), a obok stare sady jabłoniowe i rzędy orzechów włoskich. Niewielkie zagajniki leśne, zwane powszechnie „potokami”, choć nie płynęły tam żadne strumienie, dopełniały uroku tego miejsca. Mechanizacja rolnictwa, tj. wszelkiego rodzaju technika, otoczona była piękną przyrodą, którą wspominam dziś z nostalgią, którą Czytelnik zna dobrze z wersów Mickiewicza (...dziś piękno twe widzę w całej ozdobie...).

POM pełnił funkcję produkcyjną i usługową. Zdaje się, że każdy z POM-ów miał wyznaczony asortyment produkcji: w Brzączowicach wytwarzano rozkładane drewniane drabiny, a później (w latach 70-tych) lakierowano błotniki ciągników „Ursus”. Wytłoczone błotniki skądś przywożono do Brzączowic samochodami ciężarowymi, a po lakierowaniu odwożono – bodajże do Ursusa k. Warszawy. Czy coś więcej wytwarzano – oprócz wspomnianej wcześniej wieprzowiny – tego nie pamiętam. Być może był jeszcze jakiś inny asortyment produkcji, bo każdy z POM-ów, poprzez tzw. Wojewódzkie Zjednoczenie Państwowych Ośrodków Maszynowych, uczestniczył w ówczesnej państwowej gospodarce planowej. Te plany były udręką dyrekcji i pracowników, gdyż ich wykonanie było tematem rozmów jakich, mimowolnie, byłem słuchaczem w domu. Wiem także, że spontanicznie i dobrowolnie pracownicy pracowali niekiedy dłużej – to jest ponad 8 godzin dziennie – aby „wykonać plan”. Czy otrzymywali za to dodatkowe wynagrodzenie? – chyba nie. Mogę jednak zaświadczyć, że dostrzegłem – wówczas nieświadomie – entuzjazm do pracy, jaki dziś jest u niektórych doznaniem jakby obcym ... . Wspominam o tym dlatego, że żarty, dowcipy, nawet „psikusy” i widoczna jakby radość życia była powszechna – jak mi się zdaje. Dłuższy czas pracy nie pozbawiał pracowników humoru. Może pamięć okropieństw wojennych w konfrontacji ze spokojną jednak pracą i pewnym zatrudnieniem (wówczas obowiązkowym) tak ludzi usposabia?

Na placu, gdzie parkowały ciągniki (samochody stały w zamkniętych garażach), były także jakieś maszyny, ale w latach 60-tych używano sporadycznie tylko pługi. Zasadniczo ciągniki wykorzystywane były do transportu, przede wszystkim leśnego, a także żwiru wydobywanego z doliny Raby do budowy dróg. Ciągniki, z przyczepami wyjeżdżały rano, a wracały wieczorem lub niekiedy nocą. Grupa traktorów była dość liczna – bodajże było ich o ponad 10.

Oddzielną grupą pracowników byli elektrycy, jak ich nazywano, a w rzeczywistości pracownicy prowadzący tzw. elektryfikację wsi. Było to montowanie słupów, przewodów elektrycznych i instalacji elektrycznych. Wydaje mi się, że grupa tych pracowników nie przychodziła do pracy do POM-u lecz, przebywała na tzw. „delegacji”, tam gdzie daną wieś elektryfikowano. Wiem, że tą grupą pracowników kierował następca mojego ojca w Brzączowicach, p. Dyrektor Stanisław Kowalczak. Później utworzono bodajże grupę ds. zaopatrzenia wsi w wodę (wodociągi), ale tego nie jestem pewien.

W warsztatach, miejscu dla dziecka wyjątkowo interesującym, miałem okazję widzieć pracę spawaczy, ślusarzy, mechaników, elektryków i innych specjalistów. Każdy z nich, w ubraniu roboczym, zawsze zwracał uwagę tym, że ręce – a niekiedy i twarz – ubrudzone

były smarami. Technologie napraw ciągników i samochodów były wówczas niezwykle brudzące.

Naprawy prowadzono także przy pomocy mobilnego warsztatu, jakim był samochód marki „Lublin” zwany – nie wiem dlaczego – „czołówką”. W metalowym nadwoziu mieścił się komplet narzędzi do napraw, łącznie z wiertarką słupową. Pamiętam dwa szczegóły tego samochodu: charakterystyczne kierunkowskazy przy kabinie kierowcy (świeące „rączki” wychylające się na bok, po włączeniu) i piecyk do ogrzewania zimą (na węgiel). Mechanicy uchodzili wówczas, obok kierowców, za elitarną grupę pracowników.

W brzączowickim POM-ie pracowało wówczas chyba ok. 100 osób (w połowie lat 60-tych – raczej mniej niż powyżej tej liczby) i jak mi się wydaje to była typowa skala zatrudnienia w każdym z POM-ów. Gdyby zatem policzyć wszystkich „pomowców” z ówczesnego województwa krakowskiego (w Polsce było wówczas 17 województw), łącznie z pracownikami „Zjednoczenia” w Krakowie, zapewne byłoby to ok. 1000-1500 osób. Niestety, są to tylko moje przypuszczenia, gdyż nie znam skali zatrudnienia w tych czasach, które wspominam – jak dziecko wówczas przecież.

POM-u strzegł dozorca (wartownik), nie wiem czy początkowo – przełom lat 50/60-tych – nawet nie uzbrojony w broń długą. Wjazd na teren zakładu odbywał się poprzez bramę, gdzie wypisywano przepustki. Opuszczenie zakładu przez osoby postronne też było odnotowywane przez wartownika. Wiem, że po godzinach pracy – zwłaszcza jesienią i zimą – dozorcówka (rodzaj cyrkowej budy, stojącej na słupkach, z półokrągłym dachem) było miejscem spotkań pracowników, którzy nie wiedzieli co robić z wolnym czasem. Kłęby tytoniowego dymu unosiły się zawsze w powietrzu i nikomu to nie przeszkadzało – prawie wszyscy mężczyźni palili papierosy (przede wszystkim marki „Sport”). Telewizji jeszcze nie było – przynajmniej w Brzączowicach.

POM miał także swoją świetlicę, którą potem (przełom lat 60/70-tych) przemianowano na „klubokawiarnię”. Było to miejsce, gdzie gromadziła się młodzież (jako uczeń grałem tam nawet jakąś rolę w sztuce teatralnej), a także dorośli. Życie, jak się to mówi – towarzyskie - pracowników kwitło, jakby to ująć nieco poetycko. Telewizji, jak już wspomniałem, nie było, więc świetlica była miejscem, gdzie przychodzono chętnie by porozmawiać, a niekiedy potańczyć (przy muzyce odtwarzanej z płyt). Tu odbywały się pracownicze „sylwestry”, karnawałowe zabawy, itp. Gdy POM zakupił pierwszy telewizor oglądano szczególnie „dziennik” i inne programy. Pamiętam jedynie, że kategorycznie zabraniano nam – dzieciom - oglądać czwartkowej „Kobry” (teatr telewizji z kryminalnymi spektaklami), co młodszymi Czytelnikom może wydawać się dziś zakazem śmiesznym i niezrozumiałym. Dla mnie też było to niezrozumiałe, choć nieśmieszne, bo zakazy dorosłych dzieci odbierały wówczas jak najbardziej poważnie.

POM był także wówczas – jak by to dzisiaj nazwać – sponsorem grupy sportowców. Byli to pracownicy, którzy po godzinach pracy, w LZS (Ludowy Zespół Sportowy), uprawiali piłkę nożną, siatkówkę i podnoszenie ciężarów. Zwłaszcza w podnoszeniu ciężarów POM w Brzączowicach (LZS) osiągał znaczące sukcesy; bodajże nawet rangi międzywojewódzkiej.

Powracam do mechanizacji rolnictwa w POM-owskim wydaniu. Gdzieś w połowie lat 60-tych POM otrzymał (chyba tak to trzeba nazwać bo ciągników nie kupowało się jak dzisiaj u „dilerów”, lecz otrzymywał w ramach gospodarki planowej – oczywiście płacąc: komu, gdzie? – nie wiem), nowy ciągnik „Zetor”. Nazywano go „Zetor-major” i był, w porównaniu z Ursusem C45, obiektem jakby z innego świata. Względnie cichy, urucha-

miany rozrusznikiem, szybki w jeździe i jakiś w ogóle: elegancki. Patrzyliśmy na niego z zachwytem: my dzieci i pracownicy. Przywilej jazdy ciągnikiem uzyskał najlepszy z dotychczasowych kierowców ciągników „Ursus C 45”. Potem przyszły kolejne, nowe ciągniki, ale ten pierwszy podziwialiśmy – pamiętam – z podobną ciekawością, jak pierwszy telewizor.

Pamiętam też, że POM – a zwłaszcza jego pomieszczenia gościnne – były miejscem noclegowym kierowców z Warszawy (zwanych tutaj „warszawiakami”). Była jakaś umowa, która pozwoliła garażować, bodajże samochód „Nysa”, i nocować raz w miesiącu (?) dwóm wesołym, dowcipnym kierowcom. Co było celem ich przyjazdów - nie wiem. Wiem tylko, że ich przyjazd był zawsze mile oczekiwany, a zarazem pretekstem do spotkań i wesołych rozmów o tym, co się dzieje w świecie (w stolicy przecież).

Z moich dziecięcych wspomnień POM wyłania się więc nie tylko jako miejsce pracy ludzi dorosłych i miejsce nieco tajemniczych maszyn i urządzeń. To także miejsce, które łączyło pracujących tam ludzi, czymś więcej niż tylko pracą. Ponieważ byli to mieszkańcy Brzączowic i okolicznych miejscowości (Droginia, Stojowice), a rzadko tylko stażyści spoza tych okolic, niejako naturalnie ludzie ci łączyli pracę zawodową z życiem towarzyskim, by nie powiedzieć rodzinnym – bo pracowały tam niekiedy całe rodziny.

Drogi Czytelniku, nie znalazłeś w mych wspomnieniach opisu POM-u, jako zakładu pracy. Dziecko nie może przecież dostrzegać z zakładzie przemysłowym tych wszystkich zawłości techniczno-organizacyjnych jakie widzi osoba dorosła. Moje wspomnienia zapewne wywołują nostalgię bardziej u mnie niż u Ciebie, który być może POM kojarzysz z niewiele mówiącym skrótem. Napisałem te słowa jednak nie tylko z nostalgii; także dlatego, że z POM-ami z dzieciństwa połączyło mnie dalsze życie zawodowe – już jako osoby dorosłej. Ale to już inna historia i inne wspomnienia...